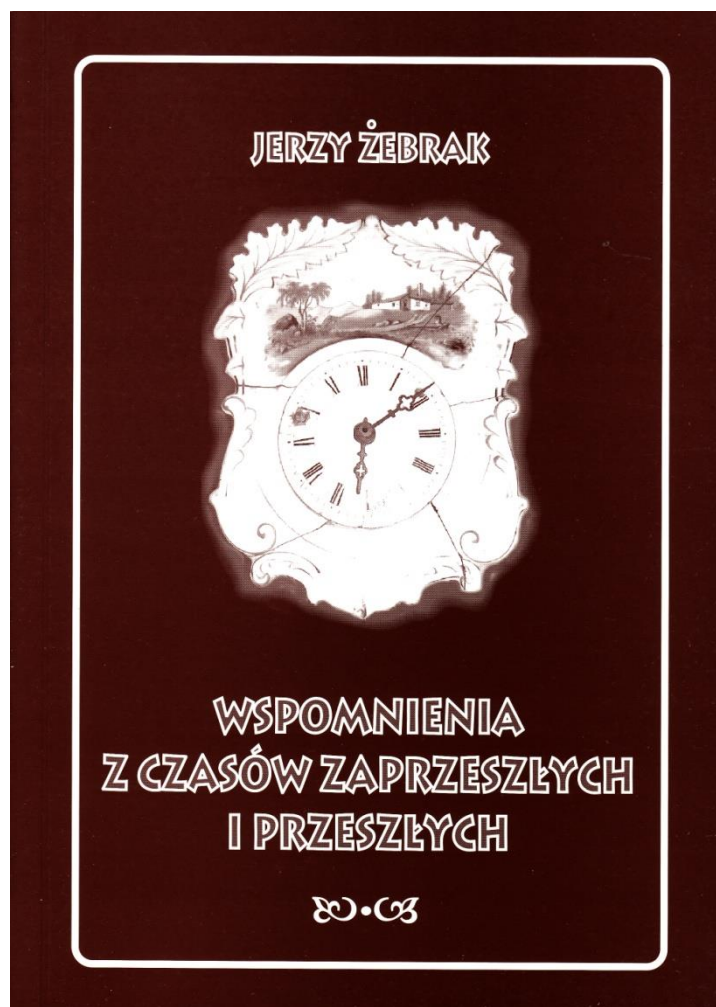


JERZY ŻEBRAK

**WSPOMNIENIA  
Z CZASÓW ZAPRZESZŁYCH  
I PRZESZŁYCH**

(wybrane fragmenty książki)



## *Skąd się wzięli Żebraki?*

Długo nie wiedziałem, że żebrak to człowiek o nikczemnej pozycji społecznej. W naszej wsi było wielu Żebraków, gospodarzy raczej zamożnych. Ja byłem synem Hendryka Lokajcyka „z Łąk”, bo tam osiedlili się Żebraki – Lokajczyki. Aż raz, a było to jeszcze przed wojną, usłyszałem jak nasza Pani z ochronki powiedziała pod kościołem: „Ale namnożyło się tych żebraków”. I wtedy odkryłem, że >żebrak< to to samo co >dziad<. Bo pod kościołem zawsze były dziady, a najwięcej w czasie odpustów. Wtedy na schodach prowadzących na wzgórze do kościoła siedziało, klęczało, a nawet leżało z dziesięcioro dziadów i dziadówek. Umorusani, odziani w postrzępioną odzież, wystawiali na widok swe ułomności, a to kikuty obciętych nóg czy rąk, a to wrzody na łydkach; inni wybałuszali bielma ślepych oczu. Klepali pacierze, przerywane prośbami o wsparcie i zapewnieniami wyproszenia u Panajezusa i Maryi-Matki łask wszelakich. Podczas wojny dziady zniknęły, nie było ich też przez lata za władzy ludowej. Aż do pełnej wolności.

Zaraz po wojnie wielu Żebraków wybrało sobie nowe nazwiska. Stare nie licowały ze statusem społecznym ludzi, którzy „zrobili maturę”, a tym bardziej „magistra”. I tak nowy ład zmniejszył ilość Żebraków, choć nie zawsze żebraków. Dziwne, bo takie nazwisko było „po linii” i na czasie. Z lenistwa nie zmieniłem nazwiska i pozostałem Żebrakiem.

Istnieje kilka opowieści o początkach rodu Żebraków, a właściwie o genezie nazwiska. Są one mniej lub bardziej prawdopodobne i różni znani mi współnosiciele tego nazwiska wykazywali trwałe przywiązanie się do jednej z legend. Wyróżnić należy legendy o jakimś przodku z linii francuskiej, z linii czeskiej oraz z linii żebraczej czyli dziadowskiej.

Wyznawcy linii francuskiej uważają za przodka rodu Francuza, markiza „de .... coś tam” z fonetycznym początkiem „że...”. Ten wysoko urodzony Francuz (bo podobno markiz) uszedł przed rewolucją francuską z głową, ale bez środków do życia. Osiedlił się w Polsce zaszczycając swoją szacowną osobą obcokrajowca jakiś majątek na południu. Jego francuskie nazwisko miało w języku polskim brzmienie podobne do „żebrak”. Francuz znalazł w tym przezwisku odbicie niezwykłości swego losu. I tak oswojony w nowym kraju przydomek >Żebrak< stał się z czasem nowym nazwiskiem byłego markiza.

Wyznawcy linii czeskiej wiążą korzenie naszego przodka z miejscowością „Żebrak” znajdującą się w pobliżu sławnego miasta Pilzna, która podobno była dziedzicznym gniazdem rodu Zsebrak wywodzącego się z Węgier. Nota bene nazwisko to ma fonetyczne brzmienie – „zeb-rak” – w języku węgierskim oznaczające „rak kiesy” – świadczy przecież o mizerii właściciela takiej kiesy. Przodek ów miał przybyć do Polski w tym samym mniej więcej czasie jaki przypisuje się markizowi.

Najmniej wyznawców miała wersja pochodzenia nazwiska od prawdziwego żebraka, dziada proszalnego, który przemierzał południowe obszary zaboru rosyjskiego. I dziad ten osiadł na stałe w jakimś majątku. Właściciel majątku okazał się być, według naszych współczesnych pojęć, dysydem i to walczącym, bo brał udział w pierwszym powstaniu. Dziad, już o nazwisku Żebrak, stał się zarządcą majątku dysydenta zesłanego na Sybir.

Wyznawcy tej teorii pochodzenia naszego rodu byli dumni z przodka, twierdząc że dziad ów był emisariuszem sprawy polskiej podobnie jak ksiądz Robak z „Pana Tadeusza”. Teoria ta nie miała licznych zwolenników, bo chociaż dla wielu nazwisko wieszczka Mickiewicza było nieobce, to mało kto chodził do szkół uczących o księdzu Robaku.

W przyszłości ród Żebraków podzielił się na kilka gałęzi włościańskich (włościanin brzmi lepiej niż chłop), a jedna związała swój los z carskim zaborcą. Jeden z przedstawicieli tej gałęzi osiągnął na początku XX wieku stopień pułkownika w armii carskiej. Istnienie pułkownika Żebraka dało znać o sobie po wielu latach, stworzyło zagrożenie iomalże nie zaważyło na moim losie. W dalszej przyszłości poznałem wątek romantyczny rosyjskiego śladu nazwiska: ona piękna i bogata zauroczona carskim oficerem – rozdzieliła ich na zawsze bolszewicka rewolucja.

Najpierw nazwisko o pejoratywnym zabarwieniu uratowało młodego człowieka od nieszczęścia judymowskiego posłannictwa. Na początku lat pięćdziesiątych XX wieku nie mogąc podjąć studiów z powodu niedostatecznie właściwego pochodzenia społecznego, ukończyłem pomaturalną Wyższą Szkołę Felczerską. Obowiązywały wtedy „nakazy pracy”, przynajmniej na dwa lata. Można było nawet wybrać miejsce zesłania. Felczerzy mieli zapewnić opiekę medyczną na rubieżach wiejskich, a głównie w pegeerach. Zgłosiłem chęć podjęcia pracy w pegeerze Niemaszchleba leżącym tuż przy granicy z NRD (było takie państwo!). Na mapach z XIX wieku istnieje miejscowość „Niemaschleba”. Nazwa pasowała jak ulał do nazwiska. W owych czasach każde działanie obywatela mogło skrywać wrogie zamiary i musiało być sprawdzone. Sprawdzano i mój wybór, tym bardziej, że zamierzałem osiedlić się w bezpośredniej bliskości granicy. Jeszcze nie było granicy między NRD i RFN, a mur w Berlinie zbudowano prawie dziesięć lat później. – „Nie możemy zaakceptować waszego wyboru – oświadczył polityczny nadzorca od nakazów pracy. – Nie obrażajcie się, ale wasze nazwisko – Żebrak ..., w Niemaszchleba..., socjalistycznym gospodarstwie rolnym... Damy wam możliwość wybrania innego PGR-u”. Nie wybrałem.

Zagrozenie niewłaściwymi dla socjalizmu skojarzeniami mego nazwiska z innymi pegeerami znikło zrzędzeniem losu. Wśród absolwentów Wyższej

Szkoły Felczerskiej (podkreślam: Wyższej), działaczy ZMP wspomaganych przez partyjnych protektorów, rozgorzała walka o dwa miejsca na studia medyczne. Nieświadomi tych walk, otrzymaliśmy z kolegą Genkiem pilne wezwanie przed oblicze dyrektora tej przeświecanej wyższej szkoły. Dyrektor zgnębiony wezwaniem do komitetów partyjnych różnych szczebli i przez nie opieprzony, prawie nieprzytomny ze strachu, bo w duchu żegnał się ze swoim stanowiskiem, nakazał nam wypełnić odpowiednie formularze w sprawie przyjęcia na medycynę. A że wyniki w nauce mieliśmy znacznie powyżej średniej i nie byliśmy powiązani z żadną koterią protektorów partyjnych, staliśmy się akceptowalnymi kandydatami na studia. I tak to zamiast nakazu pracy otrzymałem od Polski Ludowej polecenie studiowania medycyny, a dyrektor uratował stanowisko i odzyskał zaufanie władz partyjnych.

W celu uzupełnienia wiedzy w zakresie pierwszego roku medycyny zorganizowano w czasie wakacji kurs dla około trzydziestu takich jak ja szczęśliwców z podobnych szkół. Zgodnie z duchem ówczesnych czasów przydzielono nam opiekuna politycznego. Był nim starszawy student, wcześniej oficer polityczny w II Armii WP, i stąd posiadający wysoki stopień czujności oraz umiejętność unicestwiania kontrrewolucyjnych zagrożeń.

Wkrótce co raz to nowy kursant zniknął z zajęć z powodu niewłaściwego pochodzenia, mogącego w przyszłości wpłynąć na poprawność socjalistycznego

oddziaływania na pacjenta. Była to logiczna sekwencja działania stróżów od czujności klasowej. Bo czy kandydat na studenta mający wcześniej haka ideologicznego mógł się go wyzbyć w ciągu dwu lat nauki w szkole felczerskiej? Ubek zainteresował się również moją skromną osobą. Wypytywał o różne sprawy dotyczące moich stron rodzinnych, o których posiadał całkiem niezłą wiedzę. W swej naiwności sądziłem, że napotkałem krajana, a może nawet partyzanta stamtąd. Aż pewnego dnia zostałem wezwany do jego biura. To był zły znak. Usunięci kursanci tam dowiadawali się o zakończeniu studiów. Ubek zadał mi pytanie: – „Czy wy czytali „Krótki kurs historii We-Ka-Pe-be?”. Styl, akcent, a i wymowa z rosyjska spółgłoski „wu” jako „we” miało podkreślić, że pytanie ma rangę najwyższą i jest zadawane przez funkcjonariusza urzędu najwyższego zaufania, któremu nie są obce niuanse języka, nie wiadomo dlaczego uważanego w Polsce Ludowej za obcy. (Ubek – funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, którego nazwę za Gomółki przemianowano na Służbę Bezpieczeństwa – mającą zapewniać bezpieczeństwo obywateli przy pomocy funkcjonariuszy nazywanych esbekami).

Co to był ten „Krótki kurs historii WKP(b)”, czyli historii Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików)? Był to katechizm, nakazany do studiowania przez wszystkich pobierających nauki powyżej szkoły podstawowej. Zalecany robotnikom, małorolnym i średniorolnym chłopom, a inteligencji pracującej w szczególności. Można było podejrzewać, że istnieje również „Długi kurs historii” tej partii. Ale nikt się z takim dziełem nie spotkał. Na szczęście. „Krótki kurs” był podobno dziełem samego Stalina, a na pewno przez niego zatwierdzonym. Podstawowym zadaniem tego dzieła było wykazanie roli towarzysza Stalina w walce z białymi kontrrewolucjonistami, agresją jaśniepańskiej Polski w roku dwudziestym, a potem z wewnętrznymi wrogami ludu, przeszkadzającymi w budowie potęgi Kraju Rad, pierwszego państwa sprawiedliwości społecznej.

Pytanie o „Krótki kurs” przyjąłem jako retoryczne. Każdy świadomy obywatel Polski Ludowej (Polska Rzeczpospolita Ludowa – PRL – została proklamowana za rok) czytał to dzieło, a przynajmniej tak twierdził, i powinien przy odpowiedniej okazji powoływać się na nie, zwykle nie znając jego treści. Wiedza zawarta w „Krótkim kursie” pasowała szczególnie do uzasadnienia rozgrywek wewnątrzpartyjnych i tak zwanych czystek w partii. Umiejętność żonglowania „myślami” zawartymi w „Krótkim kursie historii WKP(b)” świadczyła o stałej czujności proletariackiej w okresie „zaostrej się walki



klasowej wraz z postępowaniem w budowie socjalizmu”. Niech współczesny czytelnik nie próbuje pojąć o co tam chodziło.

Odpowiedziałem ubekowi, że „Krótki Kurs” jest prawie codzienną moją lekturą. – „W takim razie powiedzcie mi co was łączy z niejakim... – tu dla podkreślenia ważności pytania przekartkował plik papierów – co was łączy z niejakim ... Żebrakiem, białym pułkownikiem, kontrrewolucjonistą?” – Zbaraniałem. Nie było właściwszego określenia oddającego mój stan psychiczny w tamtej chwili. Z nazwisk „białych” ważnych w kontrrewolucji uczono mnie, jak wszystkich, o Kołczaku i Denikinie. Ale żeby w tym towarzystwie znajdował się któryś z Żebraków... – „No to poczytajcie dokładnie historię wekapebe” – zalecił mi ubek. Dzieło to nie było na szczęście zbyt grube i wodząc palcem po linijkach druku poszukiwałem Żebraka. Znalazłem kilka wierszy o niejakim pułkowniku o nazwisku Żebrak, który dowodząc jakimś oddziałem białych dawał się we znaki czerwonym na terenie bodajże wschodniej Ukrainy. Musiał dawać dobrze w kość rewolucji jeśli znalazło się dla niego miejsce w takim dziele. Nie wiadomo co się stało z pułkownikiem, zapewne nie uratował głowy, ale obroniono przed nim pierwsze państwo robotników i chłopów.

W dalekiej przyszłości – w latach siedemdziesiątych XX wieku – duch pułkownika Żebraka stanął znów na mojej drodze życiowej. Wtedy los zetknął mnie z rosyjską księżną osiadłą w Rzymie. Dama ta, Olga Mikołajewna,

pochodząca z rodu jakichś tam książąt rosyjskich, usłyszała nazwisko – Żebrak – od mego kolegi Włocha o imieniu Fabio, który wkrótce miał się stać mężem jej wnuczki, też Olgi. Będąc kiedyś w Rzymie, dostałem zaszczytu odwiedzenia rezydencji księżnej. Zaproszenie wzbudziło podziw Fabia – moje nazwisko otwierało drzwi książęcych pałaców! Fabio cenił sobie wysoko kontakty z wyższymi sferami. Podkreślał to ubiorami z metkami sklepów mieszczących się na Via Veneto. Sam wywodził się z warstwy wyżej jak średniej; jego matka była córką znanego architekta (projektował dzielnicę Watergatte w Waszyngtonie). Mimo że popełniła megalomanię wychodząc za pracownika firmy ojca, mieszkała wraz z rodziną w rodowej rezydencji zbudowanej za czasów Mussoliniego.

O oznaczonej godzinie, szóstej po południu, zjawiliśmy się z Fabiem w rezydencji na Via Appia. Punktualność nasza, wymuszona przez Fabia, była wydarzeniem niezgodnym z włoską naturą i świadczyła o szacunku dla wysokiego urodzenia pani domu. Wcześniejsze doświadczenia wskazywały, że w tym kraju wyznaczona godzina spotkania, a zwłaszcza towarzyskiego, jest traktowana dość płynnie, zwykle do godziny po ustalonym terminie. Przy bramie wejściowej spotkał nas osobnik rodem z dziewiętnastego wieku, wąsacz o obfitych bokobrodach, w liberii ze złotymi szamerunkami. Dinozaur ów zaprowadził nas w zakątek ogrodu, gdzie rozstawione krzesła i stoły, a w kącie

małej polanki dymiące już urządzenie do grilla wskazywały, że będzie to garden party, czyli bankiet w krzakach.

Wkrótce zjawiała się dama już dobrze po siedemdziesiątce, w towarzystwie wcześniej spotkanego wásacza, który podążając w pół kroku i nieco z boku za księżną wydawał się czuwać nad bezpieczeństwem jej poruszania się po niezbyt równym podłożu i coraz to podtrzymując pod rękę doradzał: – „Etim putiem, Wasze Wysoczesstwo!” ( – Tędy, Wasza Wysokość). Po raz pierwszy i chyba już jedyny w życiu zostałem przedstawiony księżnej, chociaż jej ubiór sportowy, była w spodniach i bawełnianej bluzce, nie odpowiadał moim, a i pewnie powszechnym wyobrażeniom o wyglądzie dam z książęcego rodu. Po kilku powitalnych zdaniach księżna zapytała o moje koligacje z pułkownikiem Żebrakiem. Zaskoczenie spowodowało u mnie chwilową niemoc mowną. Przed laty o tego samego pułkownika pytał ubek. A teraz księżna. Co tu odpowiedzieć? Prawdę, ale nieco ubarwioną.

W rodzinnych opowieściach wspomina się o gałęzi rosyjskiej rodu, był związany z armią, i tu poniosła mnie fantazja: moi przodkowie z przyczyn patriotycznych nie utrzymywali z nią żadnych stosunków. Jest mi wiadome, i tu przydał się „Krótki kurs historii WKP(b)”, którego to dzieła księżna pewnie nie znała, że pułkownik Żebrak zapisał się chlubnie w walce z bolszewikami. Interpretacja odmienna niż ta z WKP(b). Nie wiem co się z nim stało. Pewnie

zginął. Księżna przyjęła tę wiadomość jak osoba mająca wcześniej świadomość takiej możliwości. Nagle straciła zainteresowanie mną jako rozmówcą i szybko opuściła ogród nadzorowana przez wążacza w liberii. Księżna miała pewnie nadzieję na wspomnienia o pułkowniku, chociażby od kogoś, kto go znał tylko z opowiadań.

Narzeczona Fabia ze wspomnień babki odtworzyła romantyczną opowieść. Księżna w młodości była zakochana w rosyjskim oficerze, pewnie wspomnianym pułkowniku. W ostatnim momencie, przy znaczącej pomocy pułkownika, udało się jej rodzinie uciec przed rewolucją i niechybną śmiercią. Wtedy w Odessie z pokładu okrętu widziała go ostatni raz na czele oddziału wojskowego broniącego dostępu na trap okrętu tłumowi uciekinierów nieprzyjętych na pokład. Wtedy to pułkownik oddał księżniczkę pod opiekę młodego żołnierza, tego właśnie, postarzałego o lat ponad sześćdziesiąt, który witał nas przy bramie. Księżniczka Olga wraz z rodzicami dotarła do Włoch, gdzie mieli pałacyk letni nad morzem. Wkrótce wyszła za mąż za szlachetnie urodzonego choć ubogiego Włocha. Wniosła w wianie rezydencję przy Via Appia zakupioną z części rodowych klejnotów uratowanych przed bolszewikami. Teraz w jesieni życia, księżna chciała odczuć choćby muśnięcie echa wspomnień o bohaterze swych dziewczęcych tęsknot.

Czeski ślad zaczątków mego rodu mógł wpłynąć w przyszłości na wysokość mandatu za przekroczenie prędkości w miejscowości Żebrak leżącej w połowie drogi pomiędzy Pragą a Pilznem. Spiesząc do ówczesnego RFN-u nie zdążyłem nawet zbliżyć prędkości samochodu do 40km na godzinę obowiązującej w tym „Żebraku” i policja drogowa złapała mnie na radar.

Młody funkcjonariusz sprawdza prawo jazdy. Powtarza nazwisko: *Żebrak*. Odchodzi na konsultację z kolegą do samochodu oznaczonego literami VB na drzwiach. VB to ichnia policja – „Vszechobecna bezpieczeńność”. W Czechosłowackiej Republice Socjalistycznej „bezpieczeństwo” musiała być wszechobecna. Podążam za policjantem tknięty przecuciem, że dostanę mandat. Gdzieś tam ze wspomnień wyłania się rodzinna legenda o przodku, który ponoć posiadał dobra w Czechach. Wykładam półzartem, chociaż po polsku to przecież w języku zrozumiałym dla brata Czecha, że nie godzi się karać mandatem Żebraka w jego rodowym mieście. Policjanci rozumują zgodnie z ideologią socjalistyczną: potomka byłego obszarnika trzeba potraktować odpowiednią „pokutą”, zgodnie z wysokim urodzeniem. Mam zapłacić tysiąc koron! To prawie bak benzyny zaplanowanej do zakupienia przed granicą, żeby nie wydawać w Niemczech prawie dwu marek za litr. Próbuję się targować: mogę zapłacić dwieście koron. I wtedy uświadamiam sobie, że mam tylko banknoty w nielegalnie wwiezionych nominałach po tysiąc koron. Nie udało się

uzyskać mandatu kredytowego, płatnego po powrocie do kraju. Proponuję zapłatę w markach. Wiadomo, że jeśli przyjmą, to do własnej kieszeni. Nic z tego. Mam iść do banku i wymienić marki na korony. O tu nie daleko, tylko pół kilometra. Żona zostaje w samochodzie jako zastaw, zablokowana autem VB. Bank o tak późnej porze, trzecia po południu, jest już zamknięty. Po drodze napotykam pensjonat. Zamawiam nocleg, i tak już dziś nie dojedziemy do granicy. Rozmieniam korony, żeby mieć banknoty po sto; nie tracę nadziei na zmniejszenie wysokości pokuty. Wracam do uwięzionego samochodu. „Wszechobecna bezpieczeńność” znikła. Nie czekamy na jej powrót.

W pensjonacie dziwią się zbieżnością nazwiska z nazwą miasteczka. Opowiadam o pradziadku, bracie właściciela miasteczka w XIX wieku. Hotelarze żałują, że ich dziadek jest nieobecny, bo pewnie wiedziałby coś bliższego o rodzie żyjącym na „hradzie”, jego ojciec był tam furmanem. Gnani do zgniłego kapitalizmu, nie poświęcamy niestety czasu następnego dnia na bliższe poznanie tego sławnego miasta. Może naprawdę tam znajdują się korzenie moich przodków i miejsce wiecznego spoczynku mego pradziada.